

ADAM CZERNIAWSKI

TOPOGRAFIA WNETRZA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1962

TOPOGRAFIA WNEŹRZA

ADAM CZERNIAWSKI

BIBLIOTEKA "KULTURY"
Tom LXXIV

TOPOGRAFIA WNĘTRZA

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

INSTITUT
PARYŻ



LITERACKI
1962

*Oh! Blessed rage for order...
The maker's rage to order words of the sea,
Words of the fragrant portals, dimly-starred,
And of ourselves and of our origins,
In ghostlier demarcations, keener sounds.*

Wallace Stevens

(Cytata z *Wierszy zebranych* Wallace Stevensa za zgodą firmy
wydawniczej Alfred A. Knopf, Inc. Copyright 1935, 1936, 1954
by Wallace Stevens)

TOPOGRAFIA WNEŹRZA

dla H. K.

Osiedliłmy w krainie górzystej i zalesionej:
jest tu kilka jezior i strumyków, obłoczki
watolinowe przewalają się po lazurowym
przestworzu, a wieczorami, nim wszędzie nów,
płynie dźwięk fujarki czy fletu.

Raz na tydzień listy i gazety a czasem
nawet kolorowy żurnal mód. Na zboczu
zameczek któregoś Ludwika, w gablotkach
emalie i serwisy, broszki i makaty
z bankietów, polowań i bitew.

Jest też stara karczma i kościół. W zrujnowanym
klasztorze straszy; kiedyś przeszła tędy wojna —
ponoć Luter się tu schronił. W lipcu zjeżdżają
turyści. Sklep z lodami otwarty do września
ale za to w zimie jest spokój.

Zaś łaciata mgła porannego jeziora
polifonicznych liści skrzydeł łopoczących
promieni ptaków karkołomnego słońca
rozchyła szaty prute łodzią miejscowego
kustosza urojonych pszczół.

październik 1957

NAKŁADAJĄC SZKŁA

Nakładając szkła
doznają złudzenia,
że zarys stołu
staje się bardziej wyraźny,
że uśmiechnięta twarz
zarysowana zmarszczkami;
zamknięty w ciemnym sześcianie
palcami macam chropowate ściany.
Promienie słońca
rozbijają się o tęczę łez
i po chwili bólu
następuje spokój:
niebo niebieskie czy szare
wżyna się w kontury drzew.

W kryształowym sześcianie
dzień spięty wielobarwną obwódką:
jest poranek fioletowych kwiatów,
różowe fale
bryzgają wśród niebiesko-drażonych skał;
w lewym rogu lśni się
pisk mew.

Mierzę głębokość
tego nadmorskiego dnia
i na siatkówce oka
dostrzegam cienie sinych drzew:

szum rozpryskujący się
o boki sześcianu
(widziane tylko kątem oka)
ukazuje się na widnokręgu.

Zdejmuję szkła
by lepiej przyjrzeć się
rozbitej butelce na piasku,
która krystalizuje promienie
w pryzmat tęczy.

ROZCHYL SIĘ DROGA KU MNIE KWIATEM...

miękką w mchu wieża
złożoną bramą zawarta

oparta o krawędź twych marzeń
stoisz wśród kwiatów
trącając ich wiotki puch

po niebie
suną hufce mitycznych rycerzy
i ty
zasłuchana w rozdźwięk ich zbroi
mówisz:
niosąc dla mnie bukiet róż,
pomyśl i o mnie
(taka niech będzie twoja miłość)



w ruinach domu
wiatr obsypuje tynk z moich dni

kulbaczę konie w uprzęż wytartych snów:

i pociśnięciem guzika
puszczam koło w ruch — dzieci
klaszczą w dłonie, bo jadą gdzieś hen
na smokach, koniach i lwach;

migają kolorowe światełka,
gra skoczna muzyka, dzieci rozbawione
machają rączkami żegnają rodziców
i karuzela pędzi coraz żwawiej w dal.



I tak po latach tułaczki
walki ze smokiem
cierpień wśród pogan
staję okryty kurzem
przed wielką bramą złocistą.

PIOSENKA MAŁEGO CHŁOPCZYKA,
O KTÓRYM ŚW. MIKOŁAJ ZAPOMNIAŁ

1.

Mijając sobotni dzień popołudniowy,
napotykam krajobraz zdruzgotanych domów
i stalowych rusztowań pokrytych śnieżną rdzą;
na brudnych płotach kwitną postrzępione afisze
zwiędłych róż.

2.

Zwłoki rozpoznała
kobieta z naprzeciwnika,
stwierdzając ich przynależność
do jej dwudziestosiedmioletniego sublokatora.

Podczas dokonywania autopsji
nie zauważono żadnych
obrażeń cielesnych;
natomiast w kieszeniach wyżej wspomnianego
znaleziono
chusteczkę w kratkę,
pilnik do paznokci
oraz małą figurkę z kości słoniowej
zakupioną w narożnym antykwariacie.

Z danych spisanych
przez doktora psychiatrii,
który badał młodzieńca w lecie,
wynikało,
że pacjenta dręczyły w półśnie
fantazje seksualne
oraz że zdradzał on skłonności
do pewnych nieszkodliwych obsesji.

3.

Siedząc naprzeciw mnie przy biurku,
opowiadał mi o prawdach
absolutnych i względnych,
o psychologii mas
i strukturze państw totalitarnych.

Za oknami miękki śnieg
przysypywał
jego grób.

Oczy szklity mu się
mahoniowym połyskiem biurka,
w które był ubrany.

Białą zadymką
poderwał się z gałęzi
ptak.

Lecz niestety nie mógł mi nic
wytłumaczyć: nie przekonała mnie
ani bibliograficzna lista odbita
na powielaczu, którą mi wręczył,
ani serdeczny uśmiech, który mi
podał lewą ręką, nieznacznie
unosząc się z wygodnego fotela.

„Cóż ma w sobie piękno symetrii
równe płatkom śniegu?”
nieraz retorycznie pytał mój nauczyciel przyrody.

3a.

A przecież byłem przekonany,
że za matowo oszklonymi drzwiami
znajduje się...
lecz o tym boję się nawet pisać.

4.

W dalszym ciągu naszej audycji
nadajemy sprawozdanie pana
Krępego-Hohenstein
który powrócił z podróży
po Utopii.
Pan Krępy-Hohenstein:

„Właśnie wczoraj o godzinie słonecznej
w chwili jaskrawego podmuchu z północy...”

dłuższa PRZERWA

...z powodów technicznych. Przepraszamy
drogich słuchaczy.
Za chwilę nadamy koncert muzyki słonecznej
z płyt.

5.

Cóż nam więc pozostaje?
czy poświęcenie
czy wiara
czy śmierć
czy miłość pełna i bez zastrzeżeń?
czy modlitwa pełna i bez zastrzeżeń?

Wydaje nam się,
że w obecnym stanie rzeczy
na te pytania nie mamy odpowiedzi
(choć oczekujemy je z dnia na dzień).

JA I TY

Wystrugaliśmy z rdzawej kory czółenka,
z patyczków zatknijmy im maszty
i żagle z kawałków gazet;
teraz na zmarszczoną kałużę
puścimy je pod wiatr.

I oto już płyną na sam środek
chwiejąc się i drgając
poza zasięgiem naszych rąk.

Ponad nami szumią obnażone drzewa
i majaczy pastelowe słońce.

Wychodzimy też czasem
nad brzeg wód wielkich i czystych,
a nawet nad spienioną falą
morze; tam puszczamy
kaczki, które hop hop po wodzie
przelecają i giną.

Tak prowadzimy z sobą dialog.

Niech mówią za nas zimowe gałęzie
lub żaglówka z kory dębowej
teraz już gdzieś daleko na niezmiernym
oceanie.

POMNIK

wybudowali mu pomnik
i stoi na cokole
zimą przysypany śniegiem
wiosną słońcem olśniony
zasłuchany w drzewa
na zacisznym skwerze —
litery na cokole
ze złota
miecz spiżowy
i oczy z kamienia

żył kiedyś dawno
i my choć bawimy się tu co dzień
nawet nie wiemy kiedy
bo nas o nim jeszcze w szkole
nie uczyli

pytamy przechodniów
lecz oni też nie wiedzą
ale podobno za życia
był wielki i sławny

a teraz stoi na cokole
w dzień patrzy samotny
na uliczny ruch
w nocy samotny patrzy
chyba na gwiazdy
ale my tego nie wiemy na pewno
bo w nocy mama
nie pozwala nam na ulicę wychodzić

BAWARIA 1956

gdzieś w dali nieme błyskawice:
wiatr zrywa wieczorny pył z chodników

tam zaś dolina i górka
romantyczna i mały
kopiasty kościółek —
za oknem puciołowaty
chłopczyk okryty
patyną

a przecież snuł się tu kiedyś
cieńki niebieskawy
dym z kominów

(mimo tych rzeźb
skrajnego baroku,
złoconych obrazów)

dziecinnie wydęte policzki
wydymają strumień wody:
w ciszy nocnej plusk
lekki a w dali
oniemiałe błyskawice

i znów ten pejzaż
słodki i łzawy
jeziora w górach

drżące deszczyk
mżący w dolinach
i słońce

lecz wokół nadal uparcie krwawią
pedantyczne strugi dymu

(mimo tych rzeźb
skrajnego baroku,
złoconych obrazów)

PIEŚŃ FILARETÓW

Nam głupi uśmiech marszczy twarze,
a on w grubych palcach
obracając filiżankę chińską,
której przygląda się niepewnie pod światło,

Zważcie na te drzewa i ten kubek, mówi,
i mówi, zważcie na wszystko co was, mówi, otacza,
i co kryje się w czeluściach
waszych sprośnych czaszek, i mówi dalej,
choć mowa jego rozkleja mu się w mokrym wietrze
struchlałego popołudnia.

„A w słonecznym kraju Biegunki, czy też
Limpopo, gdzie tańczą szarańcze
opętanych lewkonii, gdzie wieczór
nadpływa zza oceanu i cicho i nagle,
gdzie słyhać głosy tu już dawno zdławione —
powiedzcie nam, jaki śpiew wydobywa się tam
z bursztynowego brzucha, z rdzawych ust
zroszonych śliną nadziei?

„Bo my tu na głowach tańczymy
w rytm cymbałów odzywających się zewsząd,
i nie przestajemy, choć nęci nasze nozdrza
muzyka leśnych fletów, wygrywana
za czerwonymi liśćmi klinicznych kaktusów,
które pną się wzdłuż naszych pokruszonych rąk.

„Ale nic, mówimy, śmiejąc się, słuchajmy
tych bębnow, mówimy, nie mamy nadziei,
mówimy, ale przynajmniej jest rytm,
a dziś rytmu nam właśnie potrzeba”.

Po chwili logicznej ciszy
zzieleniały garbusek znad rzeki Limpopo
wyciąga z rękawa żyroskop
i bełkoce:

„Ich spleśniałe twarze zrosnięte są fioletowo-żółtym
bluszczem blekotu, który zjada im tkanki mózgowe”.

ŚP.

Właściwie stwierdzić możemy śmiało,
że żyjemy w czasach iście niebywałych:
wokół ziemi latają jakieś nieznanne ciała
czy też maszyny, wciąż czytujemy
w gazetach, że wszyscy już posiadają
dar błyskotliwej konwersacji i że
niedługo polecimy na księżyc —

cóż by sobie o tym pomyślał mój dziadek M.
Śp.?

— do kina

chodzimy w soboty, kazań słuchamy
przez radio i na górskie wycieczki
jeździmy autem, które ma
4 duże koła i jedno małe śmigło.
Tam o zachodzie słońca jemy
kanapki z serem i oglądamy miejscowe
zabytki, choć Tadzik woli bawić się
śmigłem. W zeszłym miesiącu w Paryżu,
podziwialiśmy Venus de Milo,
ale mój Staś powiedział, że
„nie reprezentuje ona kobiety dzisiejszej” —

co by na to wszystko powiedział
nasz dziadek M.
Śp.?

październik 1955

OSA W PIWIE

jest matowe popołudnie
w parku:
u schyłku lata drzewa pełne
liści, aleja kurzu i ludzi
w okularach słonecznych
o kunsztownej oprawie;
z prawej strony egzotyczna wieża,
z lewej ławki, jezioro.

*Sceny banalne tkwią
w pamięci świeże i wyraźne.
Inne, zdawałoby się bardziej
dla nas istotne, szybko się
zacierają. Jakaś przypadkowa
obserwacja przytłacza naszą
świadomość, staje się kamieniem
milowym. Tu, mówimy sobie
trochę zdziwieni, zaczyna się
nowy świat...*

zamyślony, pijam kawę, łokciami
wsparty o splamioną serwetę

siedząca obok mnie pani
w kwiecistym kapeluszu
łowi osę
w kuflu z piwem

GŁOSY

Jak je schwytać,
odnaleźć,
kroki wśród ruin
księżyc w pełni
pies na spacerze
i głosy schryplę
zziajane, przepite
krwią, tynk
opada, cegły
w proszku
konserwy ropieją
w gruzach.

Drzewa czarne
bezlistne,
ich cień na chodniku
zielony kot
na białym chodniku
kosz śmieci
ruin, księżyc
w szybach, gałęziach,
w zegarku
i głosy spoczone
ciche, miękkie,
szepczą, krzyczą,
wyją.

Księżyc przez
wyłom
zdruzgotanej ściany,
w czerwonym żużlu
grzebie rozmokły
kot na smyczy.

Parkan nr 7
oświetlona tabliczka:
„nie zabijaj”
„nie pluj”
„milcz”.

Głosy milkną,
odgłosy, echa,
jeszcze jeden w centki
i jakiś cherlawy w kropki
i to chyba wszystko?
Tak, to wszystko.

Przepraszam,
czy ma pan papierosa?
Ale niech pan spojrzy
na ten księżyc w sosie.

I to naprawdę
wszystko: merci.

Panie, świeć pan
na to ciało
tu w gruzach
zjęłczałych sardynek
i skondensowanego
mleka.

Niech mu księżyc srebrnym będzie.

HOMUNCULUS PISANY Z BOKU

Słońce zaszło go od tyłu,
ale jemu właściwie było wszystko jedno:
w głowie pływała fioletowo-cierpka muzyka
oczarowana cieniowaniem wschodniego horyzontu —
te łuny! Ten ółw topniejący w stal!
(A ta jego czupryna i żartobliwe porteczki
w prążki!) W głowie więc była seledynowa
symfonia rozpląszczonej nocy, a tam, tam
już gwiazdy! O Boże, tyle kolorów
nam dałeś, tyle dźwięków kształtu jeleni!
I słońce zachodzi mi przez ramię.
(Słońce? Tak, ta pewność doświadczenia!
To przekonanie wysnute z przykładów
i ten szafir morza przed opadem
nocy porównywany do oczu kochanej...)
W głowie jednak jest cytrynowa
pustka, migawki modulowanych akordów
zalewają oczy i dzień i noc
i to słońce widziane teraz
tylko w odbiciu złoconych rusztowań.

Tak właśnie stał
plecami do słońca aż ogarnęła go
ponowna noc. Ta
przeciętna noc pacierzy i gwiazd.

NA ŚMIERĆ SEKRETARZA GENERALNEGO

(18 września, 1961 r.)

Karczowanie dżungli pod zwrotnikiem
poszerza horyzonty światła które
skrapla się w sople drogiego nam kruszcu;
Nansen i Scott płomieniem stąpiali
łądy polarne; w stalową noc tropikalną
śmierć także bywa bezgwiezdna i chłodna.

— Lecz kto go nazwie naszym bohaterem ?

Nie był maszynistą parowozu historii
Nie palił w piecach krematoriów
Nie latał w hermetycznej puszcze wokół globu
Nawet podobno nie strzelał do czarnych
Którym fetysze ustrojów pozostały obce.

U nas jeleniem bywa, wężem albo kuną,
głazem przydrożnym, mirarzem pustyni,
oczy jej śledzą zagubionych w tłumie,
ręce na zgubę człowiekowi czynią.

Lecz znany ma wygląd w krainach polarnych
gdzie kryształ powietrza nie pęka z gorąca;
tam zewsząd widoczna jest jej płachta czarna,
przez nią prześwieca lodowate słońce.

ODKRYWAMY AMERYKĘ

Zielonolistna, barwnoszklista, cielőcomglista
filozofia — tak my kiedyś trzymając się
za rączki, uśmiechnięci. A teraz
spójrzmy przez lornetkę: widzimy oto
rzekomo drugi (a może trzeci) brzeg,
chmury i góry rysują się
na poszarpanym niebie.

Tam modlą się za nas ludzie:
są i jacyś w nadwątlonych spodniach,
są i kędzierzawi, są i matki
dojrzewających córek, wychowawcy
kilku pokoleń i brunatne staruszki
z jamnikami na plecach.

Tak to wygląda
przez ową lornetkę lub szkło powiększające,
różowe okulary albo perswazję:
gołe oko spotyka tylko
wychudzone kontury dźwigów,
masztów i sznury z bielizną.

Tym niemniej zbliżamy się
do ładu — tak przynajmniej twierdzi
ów dyrektor wytwórni
niklowanych zastaw stołowych

i my mu wierzymy: wtedy, pamiętasz,
mówił, że ład i był ład — a w każdym razie
jakieś skały.

I wiaterek dmie i wisi
mgiełka jak bielizna na sznurach
i ja jestem podniecony i ty chyba też
prawda?

Ale czemu kazali nam się podpisać
trzykrotnie i jeszcze zażądali od-
cisków palca? Czemu lato bywa tak
krótkie? I wreszcie, czemu Pawełek
jest głupszy od Gawelka i na odwrót?

Teraz tłum czyhających na wybrzeżu
odróżniam bez instrumentów pomocniczych:
widać już kleszcze i macki
i harpuny i sieci i dzieci
i co dalej?

Tak nie tak
taki nietakt maniaka Tarrabana z terakoty w trójkąt —
wyśmienicie wyśniona
z wrzeczona drzew —
prawdziwe amerykańskie — cukier krzepi —
wiosna już wiosna —
I w ogóle to wszystko jest zgodne z prawdą, przysięgam.

LETNIE IGRZYSKA

I

Przez pięć dni pracowaliśmy
i oto nadeszła sobota,
dzień wypoczynku i rozrywki.
Stoimy w bramach
odprasowani i czyści.
Przez dym odświętnych papierosów
bacznie śledzimy przechodniów
i naszych potomków grających w palanta,
berka i klasy.

Jest lato
(nowiutkie, ciepłutkie,
tylko co wylęgłe
z późnej w tym roku wiosny)
i zastanawiamy się od nowa
(ile to razy zastanawialiśmy się już?!)
Budzą nas te ponowne pytania:
— Pan szanowny pozwoli?
— Służę.
— Dziękuję.
— A ja tylko egipskie.
I odchodzimy każdy w swoją stronę,
śledząc wyschłe rynsztoki
za niedopałkami egipskich, bułgarskich i tureckich.

Jest popołudnie odświeżone,
słońce jeszcze wysokie gładzi wytarte mury,
lecz my już z niepokojem pytamy:
i co będzie dalej?
Czy pani uważa, że dziś będzie nów?
A może pełnia i gwiazdy (srebrzyste) i jakaś
może kometa. A może zamży letni deszczyk
po szybach
i dziecinnych bębenkach zapomnianych
w zaułkach ulic?
I pójdziemy do kina i spotkamy Jasia i Basię
i tyłu, tyłu innych, i będzie nam dobrze razem.

II

Jakiś człowiek, zaczepiwszy mnie na rogu,
ukłonił się, splunął w rynsztok pełen
zieloniutkich listeczków
zerwanych nagłym podmuchem letniego zefirka,
i zaproponował kupno zegarka,
który mierzy czas w ćwierć sekundach i stawia
horoskopy na podstawie magnetycznych układów
[gwiazd.

Po chwili wahania wyjaśnił,
że atomowy wodotrysk do tegoż
liczy się jako „dodatek”.

Od rana czułem się nadzwyczaj podniecony.
Zawiązałem odświeżony mój krawat:
wczoraj po raz pierwszy umówiliśmy się
w parku miejskim na piątą
i serce mi biło,
choć mieliśmy przecież siedzieć na twardej ławeczce
wśród nianiek i rozhukanych bachorów.

III

A gdyby skwar stał się nie do zniesienia,
pobiegniemy na dworzec kupić bilet powrotny.

Orzeźwiająca wodę
mineralną wypijemy w południe;
na małej stacyjce brudna ręka
podsunie roztopione lody.

Miniemy sady i gaje cyprysowe.

Lecz co się stanie,
gdy pędzący pociąg stanie?
Podniesiemy kuferki
ze zmianą bielizny
i staniemy bezradni
na skrzyżowaniu ulic:
jakiż będzie ten kraj bezpowrotny?

IV

I dziś znów jest sobota
ale trawa przy chodniku już wyschła,
papierosy podrożały i sąsiedzi,
których znałem od dziecka,
wyjechali. Zbliża się jesień.
Przez sentymentalny dym
wspominam owe popołudnie w parku
i wieczór na pluszowych fotelach.

Może jednak sprzedam ten atomowy zegarek?

W TERENIE

Oglądam siebie z lotu ptaka,
szybując ponad zgłiszcza rąk,
gruzy wyssanej czaszki. Pozycja
szkieletu z góry widoczna jak
na dłoni: kilka pomiarów, wykresów,
próbki gleby w puszcze,
jeden sfosforyzowany gnat owinięto
Expressem Wieczornym; także metalowy
guzik marynarki i grynszpanowa moneta.

Obok dąb, zaorane pole i skromny
strumyczek, który latem schnie.
Z lotu ptaka widać też dwonnicę
i pasmo drutów wysokiego napięcia.

Wiatr dał z północy i ręce nam
marzły; skończyliśmy przed zmrokiem.
Zagrzailiśmy kawę na piecyku naftowym,
wykopaliska ułożyliśmy w skrzyniach.
Zakręciłem korbę, Jaś nacisnął
starter: błotnistą drogą przez pola...
zaczęło mżyć...

A z dołu
dochodził mnie warkot silnika;
dwa słupy światła błędziły
ślepo po płotach, stogach i mgłach.

GRZYBOBRANIE

Jerzemu S.

W las w las!
przez trawiastość moich dóbr
przesuwa się żubr;

zdefiniujmy żubra:
jest to zwierz barokowy
o siedmiu łapach
w lecie lata ponad
masztami miast
w zimie
znieczulony w larwę
chrupie orzeszki laskowe
w piwnicach
łatwowiernych ciotek.

(Nam też zamieć pruszy w oczy,
gnaty łamią
opary z bagien i łzawisk,
w dziuplach skryci
chrupiemy rozkoszne
kokosy, zapijamy piwem.

A w lecie
skrzydełka nam rosną
i lecimy lecimy w las!

schorzałe gałązki nas łamią
z trzaskiem spadamy
na spokojny mech;

mackami pieścimy
zgniliznę podszybia
ryjki nasze ssają
soczystość
maślaków, pieczarek i rydzów.

Potem tańce na polance
kopa jaj na ustroniu
rozdeptana miazga
pod liściem paproci).

AUTOPORTRET Z OKRESU DOJRZEWANIA

Choć po godzinie policyjnej,
portier otworzył mi bramę;
w ogrodzie ptaki krzaki
i figurki rączkami lepione
aż pod sam pałacyk.

Z balkoniku
widoczek klasyczny się ściele,
tam moje koniki sarenki
pasą się pasikoniki
makaty brzozy węże
i zanalizowane moje sny.

Widoczek klasyczny się ściele
poza linię demarkacyjną
sarenki się pasą
i wiśla płynię.

Ale czy pan jest
Budowniczym Rzeczypospolitej?

Kroczę maszeruję ideę
pcham się
niosę sztandar
i butelkę po piwie.

Ale czy pan jest
Budowniczym Rzeczypospolitej?

przejdziem wisłę przejdziem wartę...

Choć po godzinie policyjnej,
słońce nie zaszło:
po zgrabnych ścieżynkach
stąpają jagniątka bydłatka
i wódz nasz w kaszmirowym szlafrocuku.

A to słońce psiakrew nie zachodzi!
Maszerujcie dąbrowski:
i kroczą pokraczne izoldy,
broczą bagnem boginie chemiczne,
w kokosowych wanienkach
chlapią się świeżo złowione syrenki
(bo wróciliśmy właśnie
z wczasów nad morzem).

Wypieszczone paluszki opieram
o wypieszczoną poręcz
kryształowego balkoniku.

A może by tak ulotnić się gdzie na zielonym baloniku?

To wziąłbym z sobą
me obskubane dzieci,
zapas retort i kwasów
by eksperymentować od nowa
(bo można niewidzialnym stać się
niczego nie bać się).

Ale czy pan jest
Budowniczym...?

— Tak, to ja tymi tłustymi łapkami
ten oto balkonik...
— A te krużganki...?
— I właśnie słońce zgasło.

Za to z sinego sitowia pod płótem
wytrysnęła koleżeńska kawalkada krnąbrnych
[bękartów.

OCZY SZEROKO ROZWARTE

I

Czy, gdy widzę miśkę pomarańczy widzę
miśkę pomarańczy? Spoza granic
wyobraźni goni mnie stado szczurów.
Wczoraj, ze szczytu pagórka obserwowałem
pociąg, który pędził wprost na mnie,
aż zniknął w ziemi. Została mi więc
moja wyobraźnia (ta niczym
niezastąpiona!) i słodkie wonne
pomarańcze.

Grupa wyrostków
wygrzewających się na zboczu owego
wymyślanego pagórka
zaimprovizowała wariacje New Orleans
blues i moje szczury skryły się
w jamie miękko zadrzewionego
zbocza.

O zmierzchu zacierają się
formy o zmierzchu widzę ludzi na trzech
nogach koty też mają psie głowy pani
Janina Sanguszko podobnie do krzywo
przyciętego krzaku agrestu o zmierzchu
woń rozcinanej pomarańczy
wypełnia żyły nocy.

Z tej i tamtej
strony moich oczu — z tej czy z tamtej?

II

Na wydmach zachodniego wybrzeża
wybuduję dom.

Nocą księżycową grzywy
fal grzywy białych koni rozwiane
włosy bajecznych istot.
Wiatr dmie kryształą soli w szczeliny
skruszonej cegły.

Pewnej księżycowej
nocy struktura się zawali (i Popiela
myszy zjadły!) od słonego wiatru
złotych jaffskich pomarańczy.

A ten
szczurzy pociąg w brzuchu
wielkiej góry? A te wyobraźnią
zaszłe źrenice?

PRZEMIANA MATERII

Z szarej mgły wyjęczył się płomyk
nie większy od rozżarzonego knota,
by za chwilę buchnąć słomianą
skrą. Płoną gazety, encyklopedie,
smolne łączywa, zdevaluowane banknoty.

Mgła osuwa się, osiada po kątach,
oślizguje się w rynsztok: płoną
hełmy straży ogniowej, kapliczki,
biurowce, pagody.

Niebo już widać
bezczmurne bezgwiazdne: prószy śnieg,
skrzy się słup soli, lizaki płomieni
cmokczą bezlistne drzewa — zorze polarne
na równiku! Spod daszka słonecznego
obserwuję pożar w składzie podszewek

z domów wynoszą zwędzone trupy,
okopcone psy latają w obłędzie,
prószy śnieg.

LAMENTACJE

To the memory of John Mace (1933-1961)

I

Jest zwyczaj tę podróż odbywać sleepingiem.
Malownicze widoki przesłania przedjesienna
mgła; ustępuje dopiero koło dziesiątej, by ukazać
płatanię zwrotnic, drutów i kolejowych taborów!

Wieczorem
w odrestaurowanej Filharmonii
wymoszczonej odświętnym mieszczaństwem
koncertują Bacha
(w 45. kamienia na kamieniu
tu nie było).

Ale my z wojny wyszliśmy cało
nie znamy połysku polarnego śniegu;
spaliśmy smacznie
gdy dziobano wątroby, wykrzywiano
nogi, język dotykano ogniem.

Ruiny znam z fotografii —
przypadek osmalił mi ciało
w czasach zamroczenia
narkoza świetnie działa.

Myślałem, że to alarm,
a to Bacha grano!
Patrzcie, jak ten tłusty paterfamilias
zręcznie się po odległych ślizga kluczach;
myślą moduluję w losy przyjaciół z Mitteleuropa,
którzy nie skosztowali rajskiego baroku.

II

Powrót do Wiednia okazał się pielgrzymką
w miejsce mi bliskie: Fiaty na przestrzennym
Ringu drzwi z wizytówką „Ludwig van Beethoven”
szarża na Turków Tycjany Staatsoper
w cukierni siwiutkie popiersia Habsburgów
i szcurza semicka zalekniona twarz
z szarością kamienic bardzo jej do twarzy.

My wszyscy z ciebie, Franciszku,
wnosimy petycje
składamy podania
piszemy odezwy

papiery te jednak gdzieś giną
zalegają na biurkach
pod stosem petycji podań
i odezw

zapadał zmierzch
zapłaciłeś za kawę
wmieszałeś się w tłum
bawiła tu chwilę
twoja nerwowa obecność
zmieniłeś kurs ziemi
będziemy cię za to pamiętać
(t.zn. nas kilku jeszcze żywych)

zwano go Pawłem
za życia malował
rzeczy ucieszne
ludzie

dziwowali się co też owe stwory
przedstawiać mają

co kryje się w krotochwilach
barw
w nieheroicznej deheroizacji
mistrza z Bayreuth

z późniejszych płócien
wypływa anioł śmierci

„boję się śmierci
przy moim łóżeczku skrzydła
Gabryela otaczają dwóch
różowiotkich malców nad przepaścią”

oczy wypłakał

ostały mu się jeno
wielkie czarne jamy

znawcy sztuki już w młodzieńczych kanwach
dostrzegają witalną dawkę grozy

a gdy oczy w to miejsce zwróciłem ponownie
czerwone krzaki róży gięły się na wietrze

III

Koło cricketowego trawnika zagaduję
przechodnia:
— czy to z tej chylącej się wieży
Newton jabłka rzucał?

W camposanto śpiącym mężczyznom
opasłe dusze
z ust wylatują
panie błękitne w strzelistych komnatach
złotem przybrały włosy

gdzie śmiech i pieśń rycerska?

wszelka radość poszła precz
kosą obrócona w niwecz
ognie piekielne ich smażą
zielone gady ich ciała obłażą
srogie płkanie
wieczne narzekanie

Dziewico matko królowo nieba
tyś tarczą naszą na wroga
od grzechu nas chroń.

IV

— Mówię wam, te sioła, te poletka wasze,
które tak sprawnie dziś uprawiacie,
które wam obradzają żytem a pszenicą,
kwitną jabłonią i bydło tuczą, pola
te, mówię, huragan siarczysty zniweczy!
Cóż, że na msze chadzacie, że dziecka wasze
do białej klękają komunii? Z chat
podmurowanych, wapnem malowanych
sterta desek osmolonych ledwie pozostanie!

— Jeżeli Polska ma pójść drogą mleczną...
— Nie, mówmy raczej o literaturze
— Poezja jest melodyjnym układem
słów
— Poezja spełnia zasadniczą funkcję
społeczną
— Nowoczesna poezja zatraciła kontakt
z czytelnikiem
— A foolish and unrewarding pastime
— Nowoczesny czytelnik zatracił kontakt
z poezją
— Najlepsze słowa w najlepszym ordynku
— Rozbiła się nade mną bania
— Wiersz niejasny zawsze jest nikczemny
Dobry wiersz płynie czysto i bez szumu
— W powszednie dżdżyste dni
za biurkiem pracowni siadał

tu żył i tworzył w pocie krwi;
powietrze syci zapach jodu.

Czaszka trupia z chińską dewizą:
„Żywot cnotliwy spokojne konanie”,
ilustrowane dzieło boskiego markiza,
kilimy perskie i *Sztuka kochania*.

Szukał natchnienia na paryskim bruku
gdzie skomponował 300 sonetów;
w dniu zgonu podano do druku,
że był to jeden z największych poetów.

V

pod nogami strzela chrust
gady i płazy kryją się
w skale ptaki usychają
w locie

tu każdy krok jest fałszem

najlepiej więc
wyciągnij się na spalonej trawie
twarzą do słońca
by ktoś z daleka idący
pomyślał że to głaz
spod którego za chwilę
szara wybiegnie jaszczurka

VI

Minęła groza wojny
krowy pasą się w cieniu bananów
czerstwi żniwiarze klękają na roli.
Bładoróżowe chmury sinieją, zachodnie
niebo kraśnieje jak lico jasnej pasterki.

Nie osiągnęliśmy jeszcze celu
(choć niektórzy zasnęli już w Panu)
lecz nawet ci co piją
 oranżadę grają w oczko piszą
 wiersze i modlą się do Anioła
 Stróża
nawet ci, powiadam,
 pozostają obojętni na zmierzchający krajobraz.

Przez okno wieje mrok:
 przekraczamy granicę nocy.

SPIS RZECZY

Topografia wnętrza	9
Nakładając szkła	10
Rozchyl się droga ku mnie kwiatem... ..	12
Piosenka małego chłopczyka, o którym św. Mi- kołaj zapomniał	14
Ja i ty	17
Pomnik	18
Bawaria 1956	19
Pieśń filaretów	21
Śp.	23
Osa w piwie	24
Głosy	25
Homunculus pisany z boku	27
Na śmierć Sekretarza Generalnego	28
Odkrywamy Amerykę	29
Letnie igrzyska	31
W terenie	34
Grzybobranie	35
Autoportret z okresu dojrzewania	37
Oczy szeroko rozwarte	39
Przemiana materii	41
Lamentacje	42

